

\* \* \*

Pasionki, pasionki! Rozmowy ze starymi przy koniach i w Tomaszowej kuchni! Pasionki! A obok nich toczyło się i inne życie, życie twarde, nieustępliwe w ciągłej pracy.

Orano, siano, plewiono, zbierano, młócono, przerabiano na własne potrzeby i na zbyt. Pamiętam jeszcze sochę, którą ciągnęły woły, drewniane brony i swoisty obrazek z tak zwanego obucania nieuków bydłowych do ciągnięcia jarzma.

Mieliśmy wówczas trzyletniego byka i jego o rok młodszego brata, których postanowiono zaprząć do sochy. Bykowi założono za rogi gruby, mocny i długi powróż i wyprowadzono z chlewa. Wyszedł, próbował biec, a że się nie udało, bo był powstrzymywany przez kilku chłopów, stanął dęba, szarpnął, chłopci legli pokotem jeden niedaleko drugiego, a on wypadł z podwórka i pobiegł polną dróżką wprost do lasu. Gdy

jakoś z powrotem go sprowadzono, wpadł z rozpędem do chlewa. Z trudem go stamtąd wykopano. W gdy wyszedł znów, stanął na tylnych nogach, ale nie udało mu się już wydrzeć. Przygotowani na to chłopci biegli za nim, powstrzymując rozpęd. Tym razem wpadł nie na dróżkę, ale na pole, na rogu którego tuż za drogą stał wieloletni jesion. Chłopci zdrętwieli, przemyślnie oblekli powróż wokół tego drzewa, byk wyrzucił się na grzbiet, zaryczał, a goleniska skierował ku niebu.

Obserwując to wszystko, stara sąsiadka zawołała podniesionym głosem:

– A to ci podlec, bezwstydnik, bezecka! Kaplicka tuz, a on wywaluł to swoje przyrodzenie na wierzch, bodaj przepad!

Stojąc obok, zaśmiałem się donośnie, też otrzymując za swoje:

– I ty musi (zapewne) nie lepszy, kiedy ucieche w tem znajdujes.

Z bykiem poradzono sobie, zakładając mu sznur. Pętla trzymała, gdy chciał się wyrwać, spokorniał i dał się obuczyć. Z drugim – wiadomo: kastrak – już nie było tyle kłopotu.

\* \* \*

Najpierw woły, prowadzone przez dwóch chłopaków, ciągnęły brony, a później sochę. W tę parę czarnych wołów przez kilka lat z rzędu orywał Stasisko, najpierw sochą, a potem, po skróceniu jarzma, pługiem. Wstawał raniutko, brał ze sobą gleń chleba i kawałek sera, a jesienią, gdy już dojrzały, kilka gruszek lub jabłek. Z rana na miedzach trzeba było woły napaść, stojąc przy nich bez przerwy, a potem orać. Nieraz donosiłem mu śniadanie, gdzie orał, lub obiad na miedzę, gdzie pasał. Wieczorem, po napasieniu swych podopiecznych, wracał do domu.

Wracał oracz, który znał każdy kawałek ojcowskiej ziemi, każdy zagon, klin i płoskę. Mierzył batogiem, biczem i butem, by swego skrawka nie dać, cudzego nie przywłaszczyć.

A jakim sprzętem i jakie pole przeorujesz teraz, mój oraczu? Na jakich miedzach popasujesz wołki ze swej młodości?

Sianie zbóż było wyłącznym przywilejem ojca, a potem z wieku i urzędu Franusia. Przed siewem wyrównywało się zazwyczaj rolę, początkowo bronami, a później, po komasacji, kultywatorem, wyrzucając

ściągniętą perzowinę na miedzę. Do kultywatora zakładało się zazwyczaj trójkę koni. Do bron, zwłaszcza tych drewnianych, dwójkę, z odpowiednim obciążeniem kamieniami, zależnie od stanu gleby pod względem zachwaszczenia i wilgotności. Trzeci koń ciągnął bronę już bez obciążenia.

Ileż to lat byłem takim bronowłokiem? Ojczysko przyklękał, mieszał ziarno siewne z ziarnami z kłosów poświęconych w dzień Matki Boskiej Zielnej, nabierał do siewki, podnosił się i po przeżegnaniu się rzucał garść po garści, ruchem powolnym, dostojnym, gospodarskim.

Siał jesienią nadzieję na przyszłoroczny plon, a wiosną na pilny okres żniwny.

Staralem się zawsze być przy tych pierwszych rzutach, a gdy zapomniałem, ojciec przyzywał mnie, mówiąc:

– I ty się przeżegnaj, dzieciaku, może Bóg da lepszy urodzaj...

Żegnałem się, ale dopiero po latach zrozumiałem, dlaczego mi to poleca. Cóż, rola żywiła, rola karmiła, najpierw nadzieją, potem ziarnem, kształtując w efekcie różną stopę życiową. Zwykły bieg życia! Nie zorzesz, nie zasiejesz, nie dopatrzysz – nie będziesz miał. A starania ludzkie też niewiele warte, gdy Pan Bóg nie dopomoże. Przymrozki, mrozy, ulewy, grady nie zależą od gospodarza. Tu ino Bóg rozporządza.

To takim całodziennym bronowaniu, zwłaszcza wiosną, gdy dzień jest długi, nogi odmawiały posłuszeństwa. Nogi bose, nieraz z kostkami obitymi o polne kamienie...

Rzadko kiedy, ale bywało, że ojciec kazał przerwać bronowanie, odpocząć, posilić się pajdą chleba, ale był to odpoczynek niedługi, bo trzeba było przepędzać wścibskie wrony. W czasie bronowania odstraszałem je trzaskiem bata lub rzucając kamyki. Niewiele to skutkowało. Ja byłem na jednym krańcu zagonów, a one buszowały na drugim. Widocznie ojciec obserwował te moje wysiłki, bo przechodząc obok, na sąsiednim zagonie, powiedział:

– Batem trzaskaj, odstraszaj, ale kamieniami nie rzucaj! Trafis, okalecys, zabijes, a co ci z tego przyjdzie? Wszystkiego nie zeżrą. Ptak chłopa nie zgubi, tylko te ekonomy, co nad chłopem stojo. Ptak żre po trosecku, a chłop furami wymłócone zboże wywozi na jarmark, na oganke, na przeróżne podatki, na utrzymanie nadstawców, a oni go za głupka majo. Pamiętaj – przykazywał – ptak to stwór Boży. I widać potrzebny na coś, a jak potrzebny, niech żyje.

Po zasiewie był okres wyczekiwania. Kli się już czy nie? A kiedy pola się zazieleniły, po odcieniach zieloności wróźono urodzaj. I czekano na żniwa. A gdy nadeszły te pierwsze, żytnie, płeć piękna, niemal w świątecznych ubiorach, szła z sierpami w rękach i dzbankiem wody do picia. I znów znak krzyża rozpoczynał pracę. Pochylone jedna za drugą, chwytaly garść zboża lewą ręką, by uciąć knowie do 6–8 centymetrów ponad ziemią, a następnie położyć do wspólnego furmana (razem kilkanaście przygarści). W fazie pierwszych dni żniw obolałe lędźwie trudno było wyprostować, a niekiedy przyszło podnosić się z sykiem i następnego ranka. Przy żniwach sierpem niewielu chłopów brało udział. Jeśli już, to starzy, posuwający się na kolanach.

Następna faza pracy to wiązanie snopków, stawianie dziesiątków, a w końcu zwózka do stodół, łatwiejsza już, gdy pogoda. Przy deszczach dochodziło dodatkowo rozstawianie dziesiątków, rozwiązywanie snopków, roztrząsanie ich, by wysuszyć i znów powtórzyć poprzednią pracę, mimo że wysuszone, ale wyrosłe ziarno nie miało już swojej wartości smakowej i odżywczej. Chłop sieje, chłop pracuje, a Bóg wydziela.

Sierp w niedługim czasie zastąpiła kosa, przyspieszając tempo pracy. Chłop w nieco pochylonej pozycji, postępując krok za krokiem, kładł ściśle żdźbła na stojące zboże. Pochylona za nim baba zbierała je oburącz, przyciskając do siebie, by po zebraniu odpowiedniej ilości położyć je na furman. Praca zbieraczki wymagała większego wysiłku niż praca kośnika, zwłaszcza gdy zboże obrodziło, słoma była gruba, wysoka, a kłosy wypełnione dorodnym ziarnem.

W czasie szachownicy, gdy na każdym zagonie żniwowała inna rodzina, to przechodząc do nowego pokosu jeden do drugiego coś zagadał i w czasie rozmowy odpoczywał, a po komasacji gruntów już z dala tylko ujrzeć można było żniwne grupki. Co więcej, w pierwszym wypadku żniwiarze spotykali się na drodze, gdzie rozmowa i śmiech, a często wspólna piosenka rozładowywały codzienną troskę. Po komasacji każda rodzina pracowała na swoim obszarze ziemi i nie miała już poprzedniego kontaktu z innymi w tej świątecznej atmosferze żniw, tej bliższej wspólnoty.

W sierpowym żęciu zbóż udziału nie brałem, dopiero gdy zastosowano kosę. Kosa! Ileż w początkowej fazie wnoszono do niej zastrzeżeń: a to za dużo ziarna się wykruszy, starga się słomę, zwiększy objętość

snopków i stodoła mniej pomieści, a ponadto chłop przy tej robocie zawdy musi być! Nowatorem w tym zakresie był mój ojciec. Przechodzący sąsiedzi, mimo krytycznych uwag, w następnym roku wszyscy już odrzucili sierp, akceptując kosę.

Mój udział w żniwach to najpierw formowanie paska podkładanego pod furman, a potem, w miarę upływu lat, wiązanie i znoszenie snopków oraz stawianie w rzędach dziesiątków. Doszedłem w tym zakresie do wprawy w stopniu pozwalającym z wiązać, znieść i zestawić snopki w dziesiątki, a czasem i w krótkiej przerwie odpocząć. Trochę chęci, zacięcia i ambicji i efekt był widoczny.

Ileż potu, przede wszystkim w skwarne dni, wylewali uczestnicy żniw, ten tylko wie, kto brał w tym udział.

Koniec żytnich żniw wieńczono przepiórką. Ta przepiórka to żytnia słoma z bujnymi kłosami, pozostawiona na półmetrowym skrawku, przewiązana u góry barwną wstążką, z zatkniętym pośrodku kwiatem. Obwód stanowiło słomiane koło kilkucentymetrowej szerokości, w środku którego kładło się na kamyku kawałek chleba dla przepiórki.

W szachownicy na sąsiednich zagonach nieraz stały przepiórki poszczególnych gospodarstw i pogodnie przyśpiewki szły przez pustoszące pola, może tylko do gajowych olszyn, by w ich szmerze zaginać, a może i dosięgły nieba, gdy brzmiały dziękczynieniem za Boży dar. Po komasacji stawiano dalej przepiórki, ale już mało kiedy zabrzmiała jakaś śpiewka. Świat szarzał...

\* \* \*

Zwożenie zbóż do stodoł to już była pogoń, gdy suche, gdy pogoda, byle prędszej pod dach. W zasieku poza dyłowaniem (przegroda od klepiska) na ziemię kładło się lub uzupełniało się tak zwane grędziny (pokład z gałęzi olszowych), na nie stawiało się jak najciaśniej snopki, a dopiero na nie kładło się ja na płask, udeptując, by stodoła pomieściła ich jak najwięcej. Pośpiech, pot i kurz dawały się i tu we znaki.

W święta i niedziele zbóż nie zwożono. Nie uchodziło... Ale w czasie okupacji udało mi się namówić Franusia, by po powrocie z kościoła przystąpić do zwózki i to we dwa wozy. Całą odwieczną i noc przy świetle księżycy do białego ranka trwała na polu zwózka. Gdy na

klepisko zjechała ostatnia fura, lunął deszcz, który sięgnął przez kilka następnych dni.

Tą furą ja powoziłem. Łało, ale wyprzągłem zmordowane koniska, wrzuciłem za drabinę siana, wróciłem do stodoły i pacnąłem na słomiasty barłóg na klepisku. Jak długo spałem, nie wiem. Gdy obudziłem się, przetarłem oczy, nie dowierzając, co mam przed nimi, bo to mój Franusisko klęczał na klepisku, przesuając ziarenka trzymanego w ręku różańca. Nie podniosłem się, by wkrótce usłyszeć:

– Boze, wybac, Boze, daruj, aleć to Twój dar ogarnięty...

Zwożono żyta i w niektórych stodółkach, po niektórych uciążliwych przednówkach stukwały cepy przy kłosowaniu snopków (częściowy pospieszny omłot), by zemleć choć tę ćwiarteczkę na chleb.

A pola dalej wzywały do pracy. Czekala pszenica ozima, jara, jęczmień, owies, groch, wyka, gryka, babski len, niekiedy na polach łubin i już po komasacji koniczyna nasionka, a przed nią wybieranie ziemniaków i wywóz obornika. Jedna robota goniła drugą, bo to i podorywki, i młocka zbóż ozimych do ponownego zasiewu... I napełniały się stodółki zbożem, a gospodarz czuł się jakby pewniej, pełniej. Wiadomo, snop w stodole – chłop przy kole, baba mniej ozorem kole.

A pola, pustosząc, smutniały. Rżyska traciły swój początkowy połysk, srebrzysty w słońcu, tylko jarzębiny, głogi i dzikie róże na miedzach błyskały czerwienią jagód. Tylko na dzikich gruszkach i jabłoniach łyśkały jeszcze gruzowate, niedojrzałe owoce. A potem to i te dymy pastusze wiły się, unosząc do góry, ginąc tam gdzieś, gdzie ginie i niejedna prośba ludzkiego serca czy duszy.

Dla wsi zielona wiosna, nabrzmiała aromatem kwiatów, ziół, zbóż, ptaszęcym świergoleniem i szczebiotem rozbawionej, zdrowej dziatwy, to okres radości, nadziei w słonecznej poświęcie pracy. Skwarne lato, żniwa, zwózka – wstępny sprawdzian, co z tej nadziei praktycznie przychodzi witać. Jesień, dżdżysta, dzwoniąca badylami, każe znów siać, by mieć co zbierać, a dziś zadowalać się tym, co jest, co się wypracowało, co Bóg dał. Jeśli się to ostatnie przyjmie, łatwiej ludziom spojrzeć w oczy i paciorek wyszeptać, jeśli po łbie nie krążą bezceństwa, że ani wyc, ani żyć. A co człowiek wart w takim razie? Zima ściska ziemię w grudę, wybiela, zamyka ludzi w obrębie zabudowań, dzwoni w czasie sennych

wyjazdów, zatętni w karnawale potańcówką i weseliskiem. Ale też tęskni za wiosną, za początkiem kołowrotka biegu wioskowego życia.

I dla mnie ta dziecięca wiosna, jeszcze niewielu obarczona obowiązkami, to najpiękniejszy okres życia, bo beztroski, bo w kręgu ciepłych serc rodzinnych, wśród swoich, na swoim i w swoistej niezależności poczynań, choć już w ramach najmniejszej komórki społecznej. Nikt mi jej czaru nie odebrał i nie odbierze, bo gdzie mógłbym to, co najpiękniejsze, zlokalizować?

Pewnie, te wczesne poranki, to ciąганie olbrzymich grabi, by zgarnąć pozostawione po koście kłosy, to „może to, może owo być zrobił” nie należały do przyjemności, ale inny już dzisiaj ma wydzźwięk. Wiał wiatr, przewiał wiatr, co innego dzisiaj wart!

A to wczoraj, to męskie, chłopskie bliżej?

Chłopak dorastał, szedł do wojska, wracał, żenił się, osiadając na części ojcowizny i żył razem w gromadzie z resztą rodziny. A drugi szedł na stronę, gospodarząc na ziemi żony i pod batutą teściów oraz reszty rodzeństwa. Wprzęgnięty w kierat bieżących obowiązków, pracował, bo musiał, bo nikt go nie zastąpił, bo orka, siew, zwózka i inne prace wykonane w nieodpowiednim czasie niweczyły nieraz całe pokładane nadzieje. Zlekceważony zegar wiejskiej gospodarki mścił się sromotnie. Nawet ta krowa, ta maciora, ta kobyła wymagały, by je w odpowiednim czasie pokryć. A nie dopilnujesz, to nie masz przychówku i coś wtedy wart? Gospodarz? Nie, gnojek!

Pracował, czy w chałupie była zgoda, czy niezgoda, a różnie z tym bywało. Chłop z chłopem dogadywał i rozumiał się jakoś łatwiej, ale babskie jęzory burzyły i zburzyły niejedno rodzinne współżycie. Rzucić to, iść we świat – a gdzie? Rozwodzić się grzech! Życ na kocią łapę to obraza Boska. I zawiedziony delikwent opuszczał łeb i pracował jak wół, z wolim spojrzeniem na świat i ludzi. A i ten, co czuł się cłkiem wśród cłków, też harował, ale z podniesioną głową.

I obaj, każdy na swoim, na początku jesieni poczynali cepem młócić ozime zboże, by przygotować je i na bieżące potrzeby, i do siewu. A wtedy, w wolniejsze dni albo wieczory, rozlegał się po stodołach stukot w pojedynek: łup, łup, łup-łup, łup, łup.



Cepy! Pręt leszczynowy, długości nieco ponad chłopa, tak zwany dzierzak, miał w górnej części przywiązany na rzemieniu bijak (twarde drzewo), osadzony na szyjkach obu składników.

Wywijanie cepem i uderzanie było miarowe, ale wymagało, jak wszystko, pewnej umiejętności i wprawy. Rozwiązane snopki zboża, ułożone na klepisku kłosami w jedną stronę, najpierw były młócone w tej części, a potem stopniowo aż do części dolnej, tak zwanego knowia, a następnie odwracane (dzierzakiem) i dalej młócone. Ciąg dalszy to przetrząsanie słomy, by pozbawić ją ziarna, oddzielić wiotkie źdźbła i chwasty, a następnie wysztorcować. Polegało to na ostatecznym wydzieleniu sztywnej, mocnej słomy od wiotkiej i związaniu jej w kule (duże snopy) z przeznaczeniem na krycie dachów. Tę wiotką, zmieszaną z chwastami, przetrząsano widłami i przeznaczano na pastwę (karmę) dla bydła lub na sieczkę dla koni. Po odsunięciu tych słom wygrabiano zgoniny (okruchy zboża, chwastów i ziół), zużywane do sieczki, a jako takie czyste zboże przesuwano w kąt klepiska.

Kiedy uzbierała się tego odpowiednia ilość, następowało wianie, by oczyścić ostatecznie ziarno z niepożądanych pozostałości. Wiano ręcznie szuflą pod wiatr, przy otwartej wierzei. Przy niezbędnej wprawie i odpowiednim kolistym rozrzucie zboża najdalej padały dorodne ziarna, bliżej drobniejsze (poślad), jeszcze bliżej ziarna chwastów, a niemal u nóg wiejącego – plewy. Potem z pomocą miotły, grabi i szufli zbierano wysegregowany dorobek do worków i kobiałek i wynoszono go z klepiska.

Zboża kłosowe łatwiejsze były przy tego rodzaju młócce, bo groch czy wyka owijały się często wokół gązewki. Koniczynę młócono natomiast w wielkie mrozy, bo łatwiej sypała, a tak to waliłeś, aż we łbie trzeszczało, ziarenko zaś siedziało dalej w swojej szypułce. Była to praca powolna, nieefektowna, wymagająca siły i cierpliwości. I walił chłopisko cepem dzień po dniu przez całą zimę aż do wiosny, sam albo zapraszając sąsiada, żeby było raźniej.

Czas takiej młocki to okres mego wczesnego dzieciństwa, bo później pojawiły się maszyny do młócenia. Najpierw tak zwana targanka (bo targała, roztrzasała słomę) i wialnia. Do tak zapoczątkowanej mechanizacji niezbędny był kierat, do którego zaprzęgano jako siłę pociągową konie. Na kieracie osadzony był smyk (drewniana belka), do którego dołączano uprzęż końską. Z młockarnią łączono kierat dwuczęściowym



drażeniem żelaznym. Przygotowanie do młocki to oprócz odpowiedniego ustawienia młockarni pod właściwym kątem w stosunku do żelaznych drągów wyrzucanie snopów z sąsiedka na klepisko. Potem potrzebnych było dwóch poganiaczy, jeden pomocnik do podawania rozwiązanych snopów, wkładający odpowiednie przygarście do maszyny, następnie, gdy słoma spadała, ktoś do jej przetrząsania, a i jeszcze jeden do odnoszenia poza obręb stodoły. Razem przy targance potrzebnych było sześć osób.

Klekot maszyny zakłócał spokój całej wsi, kurz wdzierał się do gardła ludzi i unosząc się ponad zabudowaniami, ciągnął pasami dalej tam, gdzie kierował go wiatr. Młocka była szybsza, już zawsze zespołowa, ale na kobiety spadł nowy obowiązek: udział w młóceniu. Chłop gmerał się potem długo, by wygrabić ziarno i przewiać wialnią, ale pracochłonność młócenia była mimo to wielokrotnie zmniejszona.

\* \* \*

Pojawienie się kieratów i młockarni zlikwidowało nie tylko młóckę cepami, ale i ręczne cięcie sieczki w sieczkarniach. Tylko przy wialni trzeba było jeszcze długo ciągnąć korbkę. Jednak maszyny były niewspółmierne drogie w stosunku do cen produktów rolnych i gdy w jednej stodole terkotała puszczona w ruch maszyna, a w sąsiedniej dalej rozlegał się stukot cepa.

Postęp wkroczył i odciążył w pracy chłopą, ale obciążył dodatkowo babę, która i tak miała jej powyżej uszu. W jej zakres wchodziły nie tylko codzienna krzątania przy przygotowywaniu posiłków, praniu, obszyciu i oblataniu, nie tylko troska o dzieci, drób i nierogaciznę, ale i to babskie zboże – len, począwszy od jego plewienia aż po wyrób i plewienie płócien.

Chłop przygotował ziemię, zasiał, zabronował i dalej już tylko babska troska i ręka przekształcały go w gotowy, a tak niezbędny produkt.

Siewano go na wąskich zagonkach, by babie łatwiej było sięgnąć od bruzdy do środka i nie niszczyć wiotkich zielonych łodyżek. Środków chemicznych do tępienia chwastów nie znano, toteż panoszyły się niemiłośnierne, opóźniając normalny rozwój lnianych źdźbeł. Plewiono je co najmniej dwukrotnie. I sterczały wtedy babskie zady ponad bruzdami, tyłoj wiatr kieckami poruszał, albo też, gdy zmęczone siadywały,

to ich okutane głowy chustkami niejednen przyjmował za wielkie kwiaty. Żmudna to była praca i nie zawsze miła. To zimno, to deszcze, to nadmiar słonecznego żaru...

Lny plewiono grupowo, bo gdzieby jedna mogła wyskubać z długasných zagonów to szatańskie nasienie, zielsko. A w grupie i prędeej, i weselej. Szły gadki, plotki i śpiewy, nabożne i te bajdałachy. Przy ziemi tętniły piosenki babskie, w górze skowrończe i może, mieszając się, obie chciały dotrzeć do nieba. Boć i jedno, i drugie tozes stworzenie Boskie, to i do Boga lgnąć powinno.

Długie tygodnie te plewienia trwały, ale gdy wyrosłe lny otworzyły swe niebieskie oczy, to i babskie ślepiea ujrzały, jak równiutkie, ani za grube, ani za cienkie łodyżki na całych zagonach stoją, i też zaczęły się iskrzyć radością, modro uśmiechać, że nie na darmo ten trud włożony.

– Cie! Trud! Jeździła dupą po bruździe, grzała ją w słońcu, czepiając za zielsko! Takie mecyje! – mawiał niejednen dureń i to niejednen raz.

Kiedy lny dojrzały, łodyżki i główki zbrązowiały, następowało rwanie z korzeniami. Wyrwaną przygarść po przygarści wiązano słomą w cieniućkie snopeczki, ustawiając je rzędami, by główki jeszcze w słońcu dojrzały, by siemię doszło. Przy wilgotnej ziemi praca posuwała się dość szybko, ale przy suchej, zatwardziałej, to i we łbie zatrzeszczało od wysiłku nieraz.

Zwiezione snopeczki ustawiano potem pod ścianami zabudowań, pod płotami, by osiągnęły pełną przydatność do młóćki, do usunięcia z główek ziarna-siemienia. Niosły je baby do stodoły i położywszy na klepisku, waliły kijanką, rozwarstwiając część górną jak najmniej, jak najcieniej, by prędeej ziarno wypadło. I klekot znów przerywał jesienną ciszę wsi.

Wymłócony dar Boży wiozło się do moczenia w strudze, w której najpierw budowało się z kamieni przegrodę w poprzek, by pogłębić, a jednocześnie zmniejszyć prąd wody, układało się ściśle snopeczek przy snopeczku i nad snopeczkiem, a na wierzch kładło się kamienie, by i prąd nie zniósł, i ponad powierzchnię wody nie wystawały. A jesienią woda bywała zimna, a trzeba było w niej brodzić więcej jak do półudzia, a nieraz przydarzyło się i wywrócić, i skąpać, i zakatarzyć, i napytać się wrzodziaków na niższej czy wyższej części goleni. Ale to tyłoj babska

robotą. Rzadko kiedy chłop przy niej pomógł, bo albo nie miał czasu, albo tę robotę lekcewał.

Po kilku dniach moczenia, gdy włókno oddzielało się łatwo od badyła, trzeba było znów wleźć do wody, zdjąć kamienie, odrzucić, wynieść ciężkie, ociekające wodą snopeczki, ułożyć na brzegu wody w przyrząd, a gdy ociekły nieco, rozstawić je na smugu albo wrzucić na furę, dowieźć na podwórko, porozstawiać po przyścieniu i przypłociu, żeby ociekały dalej i schły.

\* \* \*

Przędkom pozostawiono do przędzenia wełnę, i to w okresie wiosennym, gdy cieplej, gdy równiejsza nitka wychodzi.

Cewki wyrabiałem z czarnego bzu, przecinając na wymaganą długość gałązki odpowiedniej grubości. Potem wypychało się duszę (środkowy miąższ), zeskrobywało korę, pozostawiając po centymetrze na obrzeżach, by nie spadała.

Pełną szpulę, zdjętą z wrzeciona, następnie motało się (nawijało) na półłokciówkę, pręt drzewa kilkumetrowej, ustalonej i stałej długości (o średnicy do 5 centymetrów), rozwidlony z jednej strony, z drugiej wmontowany w deskę z wystającymi ramionkami. W rozwidlenie to i na te ramionka nakładało się nić, by nie biegać tam i z powrotem. Taką szpilę trzymało się w jednej ręce, prowadząc nić drugą i nakładając ją przy odpowiednim napięciu. Zapędzano mnie i do tej roboty, a nie lubiłem jej, o rety! Ganiaj i ganiaj, a tu na szpulce mało ubywa, a tu naskórek na paluchu do krwi przecięty... Bodaj to malesa!

Nanizaną na półłokciówkę nić potem liczono, przeplatając w poprzek inną grubszą, widoczną nicią. Odpowiednią ilość pasm zdjętych z półłokciówki zwano przędziwem. Przed stawianiem krosien takie przędziwo nakładało się na wituchy (krzyżak z listew, osadzony na pieńku), które ciągnięte nitką poruszały się wokoło, a nić tę zwijało się na kłębki.

Następna faza to snucie na snowadłach. Były to cztery kantówki z drzewa, sięgające od ziemi do sufitu, złączone w równomiernej odległości ze środkową, grubszą od poprzednich kantówką, wmontowaną w otwory na dole i górze, umożliwiające obracanie snowadłem. U góry i dołu snowadła (po jednej) znajdowały się tak zwane palcówki, ale jaką rolę spełniały, już nie pamiętam.

Snowanie zaczynało się od góry, zaczepiając pasma do jednego z palców, a pasmo to ustalona ilość nici, zesnowana już z kłębków ułożonych w miskach i garnkach. Jedna baba obracała powoli snowadła, druga układała pasma na czworokąt kantówek lub zaplanowanej tkaniny. Niedokładność wyliczeń lub pomyłki były potem błędem trudnym do usunięcia czy wyprostowania.

Takie osnute już przędziwo (i tej nazwy nie pamiętam) nawijało się potem na krosna. Zasadniczym ich uzbrojeniem były staciwki boczne, grubaśne, wyheblowane beleczki, połączone ze sobą poprzecznymi wiązadłami kantówek, po jednej z góry i z dołu, po obu stronach. Z tyłu krosien był wał do nawijania przędziwa, a z przodu drugi do nawijania już wyprodukowanego płótna. W odległości do pół metra od przodu krosien wisiały nicianki, przymocowane do porzeczek opartej na staciwach. Owe nicianki to siatka z grubych, mocnych nici osnuta na dwóch prętach, która pośrodku miała oczka. Zawieszało się je u góry na kółkach, umożliwiających im przesuwanie się od góry lub na dół, a u dołu do następaków (ruchomych, grubszych deseczek). Nacisk nogą na taki następak powodował, że jedna nicianka szła do góry, a druga na dół.

Bliżej przodu zwisało bijadło, w środku którego znajdowała się płoska (to bijadło to ruchoma rama na całą szerokość krosien, u płoski obramowana fikuśnie z trzciny, długa prawie na szerokość krosien, a szeroka na około 15 centymetrów). W niej z góry na dół biegły cieniutkie łyka trzciniowe.

Kiedy nawinięto przędziwo na wał, przystępowano do nawlekania, najpierw do nicianek, potem do płoski, by wreszcie przewleczone nici połączyć z fartuchem, który następnie przymocowywano do wału, nawijającego gotowy wyrób. Płoska była jedna, bijadło jedno, ale następaków sześć i tyleż nicianek. Zależnie od wzoru tkaniny stosowano mniejszą lub większą ilość nicianek i następaków. Tak przygotowane, naciągnięte przędziwo zwano postawą, a nici biegnące w poprzek – wątkiem. Do przerzucania wątku w jedną i drugą stronę służyło czółenko, w środku którego znajdowała się cewka z nitką.

Kiedy naciskało się nogą następak, poruszały się nicianki, wytwarzając pusty trójkąt, pomiędzy górną i dolną warstwą nici przed płoską. Przerzucane czółenko nanosiło w ten trójkąt nitkę i wtedy ręka chwyciła za bijadło. Te trzciniowe szczebelki w płosze dociskały nitki, potem

nacisk nogi na następak zmieniał pozycję nicianek, zamykając w zwartej przestrzeni krosienny wątek.

I tak nitka za nitką, przerzucane i dobijane, tworzyły płótno. Przy dwóch niciankach i dwóch następakach robota była prosta, choć mozolna i wyczerpująca. Przy większej różnorodności wzorów już i głowa musiała pracować. Tkano llinę, czasem z konopi materiał na worki, a z wełny pól sukienek i sukna. Płótna bieliźniane i pościelowe bielono na smugach, na których po zmoczeniu w strudze rozpościerano je długimi pasami z grubaśnych wałków, dźwiganych co dzień tam i z powrotem.

Sukna kierowano do folusza, skąd wracały szczelne, wygładzone, szare w pierwszym kolorze albo farbowane na czarno. Szczególnym uznaniem cieszyli się folusze z Zambrowa.

Ten babski lniany kołowrotek trwał aż do wiosny i nieomal zazębiał się o nowe plewienie ponownie zasianego lnu.

\* \* \*

Ale czy to już wszystko? Skrzętna gospodyni sama kroїła i szyła dla całej rodziny koszule, nawet dla chłopów portki z pacześnianego płótna. A przecież i połatać przychodziło, i wyprać.

Oj, i ja byłem obdarowany takimi porcięciami. Kiedy jednego razu poskarżyłem się, że mi w kroku obręby ocierają skórę, usłyszałem:

– To opuść ksyne porteczki, a tarcie ustanie...

A pranie? Były prania doroczne, jakby generalne. Na wiosnę, po żniwach i po wykopkach. Najpierw w kadziach czy beczkach sporządzano zol, roztwór z popiołu drzewnego. Do naczyń tych wlewało się wrzątek, sypało popiół, mieszało, by posegregowawszy zabrudzone łachy, wrzucić je do odpowiedniego naczynia, każdego o innym natężeniu roztworu. Kogo by to stać było na mydło do tyła i tak zabrudzonych łachów?

I mokły te łachy określony czas, by po wykręceniu, wrzucone na wóz, trafić do strugi. Wymoczone tam, wybite na kamieniu, wysiastane, już jako czyste wisiały potem, susząc się, na płotach i strychach. Przy bieżących, ale większych przepierkach też stosowano zol, ale z reguły o mniejszym stężeniu, bo to trudniej wyprać, a wodę ze studni trzeba ciągnąć. A i tak ileż wiader tej wody zużyto?

– Ot, letka babska robota – pogadywał niejeden.

\* \* \*

A praca przy gnoju (oborniku), który rokrocznie, wiosną i jesienią, wywożono na pole? Podważane widłami plastry, te słomiate, jeszcze nie przegniłe, a wdeptane, trzeba było rwać, opierając nieraz trzon wideł o kolana (na tzw. przechyłkę), był łatwiej poradzić wyrwać, zanieść i wrzucić na furę stojącą pod drzwiami chlewów.

I tu baba wielokrotnie chłopu pomagała, a już wyłącznie do niej należało roztrząsanie gnoju na polu. Chłop zawiózł gnój, ściągnął go kulasem (dwupalcowy żelazny zaczep na drewnianym trzonku) na kucki (gromadki), a dalej gnój czekał na babskie ręce. Baba przyszła, brała na go widły, poruszyła nimi, roztrząsnęła na drobne części, równomiernie, cierpliwie, do skutku. Ale te ręce cierpły od wysiłku, bolały w łokciach i ramionach... A nożyiska tężały w łydkach i w krzyżu też czasem strzykało... Owcze, zbite kołacze niejednokrotnie przychodziło jej pazurami rozrywać, a podnoszący się kurz łzawił oczy.

\* \* \*

A wykopki? Podobnież dokąd orano sochą, nie znając jeszcze pługa, ziemniaki wydziobywano motyką z calizny, z nieporuszonej, często stwardniałej gleby. Gdy zjawił się pług, przerywano je, zruszając ziemię, i dalsza praca należała niemal wyłącznie do kobiet.

Ale stańże, człowiecze, w pochyłej pozycji, kop, zbieraj, nieś pełne kosze, wsypuj do wora, potrząsaj nim, by stał prosto, a dopiero po całodziennej pracy przekonasz się, gdzie cię i jak boli. Pewnie, przy wykopkach, jak i przy żniwach, najgorsze były pierwsze dni, potem mięśnie i cały organizm przystosowywał się, ale zmęczenie pozostawało.

A po powrocie do domu, po zachodzie słońca lub w półmroku, czekał codzienny, wieczorny obrządek, gary w kuchni i dzieci, najczęściej już wygłodniałe. Jakżeż nie przytulać takiego kreskańca (raczkującego), który garnąc się, już wołał „mamu, mamu”. Weźmiesz na ręce, zabałamucisz, a tu z garów na blaty kipi i puzar (odór) roznosi się po chałupie. Ej, ty dolo, niewdzięczna babska dolo!

I mnie przypadło być takim kopaczem. Na dalsze pola, by nie marnować czasu, dowożono obiad. Jednego razu ojczysko przywiózł gotowaną

brukiew. Nie znosiłem jej zapachu, nie wzięłem łyżki do ręki i kromka suchego chleba musiała wystarczyć do wieczora.

Ta nakreślona w rzutach praca ówczesnych kobiet to celowo podane migawki może nieudolne, niedokładne, ale obrazujące w pewnym stopniu ich warunki bytowania. Gdy przeczyta je któraś Górszczanka lub przypadkiem inna, nowoczesna kobieta, to może przypomni się jej babcia czy nawet prababcia... I będzie mogła porównać tamte warunki życia ze swoimi i przestanie narzekać, że jej źle, że życie nic nie warte. A muszę przy tym dodać, że te dawne kobiety, te z czasów mego dzieciństwa, mimo tak twardej harówki posiadały wiele pogody, ba, i dostojności! Czy stać cię dzisiaj na to, młoda Górszczanko? Pamiętasz swoich rodziców i dziadków? A jeśli tak, jaki jest twój stosunek do tych, którzy już odeszli, i do tych, którzy jeszcze kołaczą resztkami sił?

Gdy tak tę kobietą pracę wspominam, nie mogę oprzeć się pytaniom: Ileś ty, moja Helciu, stara panno i wielka samotnico, musiała swoimi rękami nadźwigać tych garów, wiader wody, karmy dla świń, koszy ziemniaków? Ileś fur tych ziemniaków zebrała w czasie wykopków? Ileś fur zboża przepuściła przez swoje ręce w czasie żniw? A ile słomy przepuściłaś przy jej odbieraniu w kurzu spod młockarni? Ile dzież ciasta wyrobiłaś swoimi rękami? Ileś sformowała i wypiekła bochenków, by obdarzyć rodzinę smacznym chlebem? I co w zamian miałaś? Czy zawsze należny szacunek i uznanie za to? Czy możesz zaprzeczyć, że porzekadło „Najlepiej, gdy każdy się grzebie we własnym chlebie” nie ma głębszego uzasadnienia? Siostró, współczułem ci, a obrona najczęściej chybiała.